

# ALY MARTINEZ

Czasami miłość zdarza się w najmniej spodziewanym momencie.

# La horizon

The Darkest Sunrise #3



Tytuł oryginału

*Across the Horizon*

Copyright © 2018 by Aly Martinez

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Joanna Błakita

**Korekta:**

Karina Przybylik

Edyta Giersz

Maria Klimek

**Redakcja techniczna:**

Michał Swędrowski

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

**Druk i oprawa:**

Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-346-7

**ALY MARTINEZ**

*La  
horizontes*

**THE DARKEST SUNRISE #3**

Тлумаченіе  
Анна Гургул

*Amie Knight, Mirando Arnold, Megan Cooke, Bianco Smith i Kelly Markham, naprawdę nie wiem, co bym bez Was zrobiła. Nigdy mnie nie opuszczajcie. Byłoby dziwnie, gdybym musiała Was stalkować i wystawać pod Waszymi oknami, by czytać na głos swoje książki. Z drugiej strony łatwiej byłoby wtedy wyłapać wszystkie literówki.*

*Kocham Was!*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rita

– Wynoś się! – wykrzyczałam, rzucając lampką wina przez pokój. Szkło rozbiło się na milion części pod jego stopami.

Popękało niczym moje serce.

– Rito, skarbie, pozwól mi to wytłumaczyć. – Zrobił dwa kroki w moją stronę. Jego długie nogi szybko skracaly dystans pomiędzy nami. Gdyby tylko zrobił tak wcześniej, gdyby zmniejszył tę odległość na przykład sześć miesięcy temu, zamiast wpaść w ramiona innej kobiety.

Oddaliłam się o krok.

Gdybym tylko zrobiła to wcześniej.

Zanim, na przykład, poświęciłam mu całe swoje życie.

Ale przecież przez siedem lat niczego nie żałowałam.

Myślałam, że jest moim wymarzonym mężczyzną.

Nie, nie byliśmy idealną parą. Daleko nam było do tego. Kłóciliśmy się i sprzecaliśmy. A przez te lata na naszej drodze pojawiło się mnóstwo problemów oraz przeszkód. Ale chyba każde małżeństwo tak ma, prawda? Założyłam, że tak to właśnie wygląda, kiedy przez prawie dekadę dzieli się z kimś życie.

– Proszę! – Wyciągnął do mnie rękę, a opuszki jego palców wyznaczyły piękną ścieżkę na mojej skórze.

– Nawet się nie waży mnie dotykać – wycodziłam przez zęby. Łzy spływały czarną od tuszu drogą w dół moich policzków.

– Tylko mnie posłuchaj... Ja cię kocham. – Odetchnął nierównomiernie, a potem przecesał dłonią włosy.

Jego słowa wyparowały, zanim nawet miały szansę ponieść się do moich uszu.

On mnie nie kochał.

Nie byłam nawet pewna, czy kiedykolwiek było inaczej.

Z jakiegoś dziwnego powodu skupiałam się na jego dłoni. Była to ta sama ręka, której użył do włożenia obrączki na mój palec, kiedy przysięgaliśmy sobie „i że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Dłoń, która trzymała moją w dniu, gdy trumnę z moją matką opuszczano do ziemi. Dłoń, która spoczywała na moim brzuchu, gdy lekarz przekazał nam wiadomość, że poroniłam. I ta sama pieprzona dłoń, której używał, żeby dotykać jej nagiego ciała dzień po dniu przez ostatnie sześć miesięcy.

Z gardła wyrwało mi się łkanie. Złapałam się za klatkę piersiową.

– Nienawidzę cię tak, kurwa, bardzo.

Potrząsnął głową z żalem.

– Kotku, proszę.

Przymknęłam lekko oczy, przechyliłam głowę i wlepiłam w niego wzrok. Postarzał się od naszego pierwszego spotkania na studiach. Miałam wtedy plan, by, tak jak on wcześniej, zacząć naukę w szkole medycznej. Ale nigdy go nie zrealizowałam, bo poprosił mnie o rękę, kiedy sam zaakceptował rezydenturę poza stanem. Teraz przerzedzały mu się brązowe włosy, a drobne zmarszczki przecinały kąciaki oczu. Daleko mu było do tego dwudziestoczteroletniego chłopaka, który uśmiechał się do mnie z drugiego końca baru. Ale jeśli to możliwe, to z wiekiem wyglądał lepiej. Miałam pełną świadomość, że kobiety na niego patrzą. Był przystojnym, odnoszącym sukcesy lekarzem o szerokim uśmiechu i łagodnym usposobieniu. Nigdy nie zajmowałam się jednak zazdrością, bo naiwnie zakładałam, że był tylko mój.

Bez dwóch zdań ja byłam jego.

Teraz jego była też ona.

Kilka postrzępionych odłamków zakłuło i zabolowało mnie w piersi, zadrżał mi podbródek. Rozejrzałam się szybko po pokoju. Ten dom kupiliśmy dwa lata temu, jakiś czas po tym, gdy zdecydowaliśmy się na powiększenie rodziny. Spędziłam niezliczone godziny na dekorowaniu tej ponaddwudziestometrowej pustej przestrzeni. Miłość ujęłam w zdjęcia na ścianach, a meble wybrałam tak, by wypełnić to miejsce ciepłem. W moim odczuciu te ściany i okna reprezentowały wieczność. Mieliśmy wychowywać w tym domu nasze dzieci. Dwóch chłopców łobuzów o jego ciemnych włosach i blond księżniczkę uwielbiającą manicure i szpilki zupełnie jak ja. Tu mieliśmy obchodzić rocznice, spędzać wakacje, wyprawiać przyjęcia urodzinowe oraz grille, a także przesiadywać cichymi nocami, zwinięci razem na kanapie, ogrzewając się w świetle życia, które sami dla siebie stworzyliśmy.

Ale właśnie wtedy, gdy spoglądałam w te brązowe oczy, jego kłamstwa i zdrada skaziły piękno tego miejsca.

Całe moje życie zaczynało właśnie implodować we wnętrzu tego dwupoziomowego domu z cegły.

I nie było dla mnie żadnej drogi ucieczki.

Tak wiele z mojej tożsamości zostało owinięte w Grega Laughlina. Co za głupota. Wszystko, co miałam, było z nim powiązane w ten lub inny sposób. Konta w banku, karty kredytowe, ten dom – cholera, nawet moje auto było na niego.

Nie mając nic do powiedzenia, w asyście morza kłamstw, traściłam właśnie wszystko.

Przesunął się do przodu.

– Skarbie, to dla mnie nic nie znaczyło. Przysięgam ci.

Ależ był pełen banałów i frazesów. Byliśmy ze sobą od dziewięciu lat, jako małżeństwo od siedmiu, a fakt, że to nic dla niego nie znaczyło, miał w jakiś sposób spowodować, że ten romans stałby się akceptowalny? Można zapomnieć o tym, że umierałam wewnątrz. Można zapomnieć, że od kiedy tylko

pierwszy raz na niego spojrzałam, nawet nie rozważałam bycia z innym facetem. Można pominąć, że oddałam mu całe swoje życie. Każdą nadzieję. Każde marzenie. Każdą potrzebę. Każde pragnienie. A on i tak wybrał tyłek jakiejś laski i wyrzucił to wszystko do śmieci.

I oto ja nie powinnam była się tym przejmować, ponieważ to nic dla niego nie znaczyło.

Wyprostowałam ramiona, zmusiłam się, by przestać płakać.

– Przykro mi to słyszeć, ponieważ dla mnie znaczyło to wszystko. – Wymierzyłam palec powyżej jego ramienia, na drzwi, pozwoliłam, by gniew zajął miejsce zdruzgotania. – Wynoś. Się.

Jego wysokie ciało zachwiało się, zawisając nade mną. Położył dłoń na moim karku i przyciągnął mnie do siebie.

Wiedziałam, co byłoby dalej: Schyliłby się nisko, aż nasze usta prawie by się stykały. Jego oddech mieszałby się z moim, a potem zaciągnąłby się powietrzem, jakby mógł mnie wciągnąć w swoje płuca. Jego druga dłoń powędrowałaby do mojego biodra, a potem prześlizgnęła się w tył i rozpostarła na krzyżu, zmuszając mnie, żebym wylądowała na nim. Następnie westchnąłby długo i z zadowoleniem, tak, jakby trzymanie mnie w ramionach było lekiem na każdą jego bolączkę.

Zanim znaleźliśmy się w tym miejscu, uwielbiałam, kiedy mnie tak przytulał. Czułam się dopieszczona.

Teraz odczuwałam to jako oszustwo – zresztą on cały tym dla mnie był.

Zaledwie kilka minut wcześniej dowiedziałam się, że nasze małżeństwo było oszustwem.

Mocno odepchnęłam jego klatkę piersiową.

– Nie masz prawa mnie więcej dotykać.

– Rito, przestań – błagał.

– Przestań? – wykrzyczałam, wyrzucając ręce do góry, a potem uderzyłam nimi o uda. – Tak, proszę cię bardzo. Greg, przestań, kurwa! – Przymknęłam oczy, ścisnęłam nasadę nosa. W brzuchu



mi się wszystko przewracało. – Ile razy wracałeś do mnie, do domu, spałeś w naszym łóżku, po tym jak ją zostawiałeś?

– Rito – wyszeptał, a następnie usłyszałam, jak jego kolana uderzają o drewnianą podłogę.

Wciąż miałam zaciśnięte oczy, nie byłam już w stanie znieść jego widoku.

– Ile razy przyprowadziłeś ją ze sobą do nas, do naszego łóżka, Greg?

– Nigdy, przysięgam.

Kolejne kłamstwa. I to takie, do których jeszcze kilka godzin wcześniej nie sądziłam nawet, że byłby zdolny.

Wtedy wypowiedziałam słowa, do których nie uwierzyłabym, że ja będę kiedykolwiek zdolna:

– Chcę rozwodu.

Zaciągnął się ostro powietrzem.

– Nie mów tak. Musimy tylko porozmawiać.

– A czy ty to zrobiłeś, zanim nas całkiem przekreśliłeś? Czy ty ze mną porozmawiałeś? Albo po tym, gdy pierwszy raz się z nią przespałeś? Czy wtedy padłeś na kolana i błagałeś o moje przebaczenie? Nie. Dialog od jakiegoś czasu nie jest wysoko na liście twoich priorytetów, dlatego musisz mnie teraz posłuchać, ponieważ to ostatnia rozmowa, jaką przeprowadzimy. Chcę rozwodu, chcę, żebyś się wyprowadził, a do tego chcę, żeby siedem pierdolonych lat mojego życia, które mi ukradłeś, do mnie wróciło.

– Popełniłem błąd, skarbie, ale ona tylko tym była: błędem. Kocham cię i wiem, że ty mnie też kochasz. – Jego ręce złapały mnie w biodrach. Przycisnął głowę do mojego brzucha. – Możemy to przetrwać. Wiem, że jesteśmy w stanie.

Zacisnęłam mocniej powieki, a wtedy wymknęła się spod nich łza.

To miała być jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłam.

Greg został wszyty w materiał, z którego utkane było moje życie. Był moją pierwszą miłością.

A teraz był moim pierwszym złamanym sercem.

– Nie ma już żadnego „my” – stwierdziłam drżącym głosem. – I nie będzie też żadnego przetrwania tej sytuacji.

Przytulił mnie mocniej.

– Zawsze będzie jakaś wersja nas. Nie zrezygnuję z ciebie.

Ściągnęłam jego ręce ze swoich bioder, wreszcie też otworzyłam oczy.

Patrzyłam w dół na jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam. Czułam, jak wbija się we mnie zimne ostrze rzeczywistości.

– Ależ ty już ze mnie zrezygnowałeś. – Odsunęłam się tak, żeby mnie nie dosięgnął. – Sześć miesięcy temu.

Przygotowując się na cierpienie, rzuciłam ostatnie spojrzenie na dwa pierścionki, które podarował mi na przestrzeni tych wszystkich lat. Pamiętam, jaka byłam wniebowzięta, gdy po raz pierwszy upadł przede mną na kolana i poprosił o moją rękę.

A potem je ściągnęłam. Każda część mojego ciała aż krzyczała, żeby włożyć je z powrotem. Cóż, każda oprócz serca.

Przecież bardzo jasno się określił, że wszystkie obietnice złożone wraz z tymi pierścionkami nie były niczym więcej jak wytworem mojej wyobraźni.

– Nie – jęknął bez tchu, a oczy mu się rozszerzyły.

– Możesz je sobie wziąć – wyszeptalam, upuszczając oba pierścionki na podłogę, tuż przed nim. – Ja już ich więcej nie potrzebuję.

I wtedy, z sercem w gardle oraz łzami płynącymi po twarzy, odeszłam.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tanner

– Wynoś się! – wykrzyczałem, a drzwi mojej sypialni otworzyły się na oścież.

Andrea zatrzymała się w miejscu i wydeła usta.

– Serio?

Kropelki wody ściekały z końcówek moich prostych blond włosów, gdy z impetem włożyłem spodnie na tyłek i pociągnąłem w górę zamek.

– Taa, kurwa, serio.

Posłała mi uśmieszek, a potem przebiegła wzrokiem w dół po moim nagim torsie aż do guzika w dżinsach.

– Uwierz mi, nie ma tam nic, czego już bym w życiu nie widziała. – Założyła ręce na piersi i pochyliła się do przodu, ku mnie. – I to wiele razy.

Szybkim ruchem dłoni odgarnąłem włosy z oczu.

– Trzy noce po pijaku, w tym, jestem tego prawie pewny, jedna, gdy wrzuciłaś mi coś do drinka, nie za bardzo dają ci przepustkę dla VIP-ów do mojej sypialni. A poza tym, czy ty nie masz czasem dziewczyny?

Wydeła znów usta.

– Och, Tanner, jesteś zazdrosny?

– Ani trochę. Nicole była trochę za szalona w łóżku. – Puściłem jej oczko.

Uśmiech znikł jej z ust. Zrobiła wielkie oczy.

– Nie uprawiałeś seksu z moją dziewczyną.

Zaśmiałem się szybko.

– Nie, żartuję sobie. Mam roczny limit na takie szalone laski. Na ciebie i Shanę zużyłem go chyba na dziesięć lat do przodu. Cnocie Nicole nic nie zagraża. – Na bosaka przebiegłem po ciemnej mahoniowej podłodze do komody i wyciągnąłem z niej T-shirt.

– Och, jak się miewa Shana? – zapytała, posyłając mi tak palące spojrzenie, że czułem, jakby przypiekała mnie żywcem.

– Wciąż jest obłąkaną wariatką z obsesją. Teraz, gdy na to patrzę, to przypomina mi bardzo ciebie.

Wymierzyła we mnie lodowate spojrzenie. Zanim miałem nawet szansę wciągnąć koszulkę przez głowę, podeszła do mnie i wyrwała mi ją z ręki.

– Nie tak szybko. Będziesz potrzebował bokserki. Na końcowym nagraniu mikrofon zbierał zakłócenia. Będziemy musieli to powtórzyć.

Nagrywaliśmy przez cały dzień, trzeci tydzień z rzędu, a przed nami były co najmniej dwa kolejne tygodnie takiego samego grafiku. Można było z całą pewnością stwierdzić, że wszyscy byliśmy wykończeni.

Jako najlepiej oceniany program kulinarny w telewizji *Wrzenie* cieszyło się dużym zainteresowaniem. Food Channel zamówił trzykrotnie większą liczbę odcinków do sezonu siódmego. Wydało się, że Ameryka nie mogła się nasycić szefem kuchni Tanne-rem Reese'em. Albo przynajmniej mój tors jeszcze nie zdążył się ludziom znudzić. W połowie każdego odcinka zdzieralem z siebie koszulkę. Jakby to powiedzieć: rozumienie potrzeb swoich widzów było ważne, a w moim przypadku widzami były kobiety.

Starsze.

Młodsze.

Wysokie.

Niskie.

Mężatki.

Samotne.

Perłowy uśmiech, dwa dołączki i sześciopak na dokładkę wydawały się uniwersalnym językiem zrozumiałym dla nich wszystkich. Dzięki dobrym genom już bardzo wcześnie stałem się biegły w tej mowie. Jednak zawsze uważałem, że te umiejętności ograniczały się wyłącznie do życia osobistego. Na szczęście ładna buzia zdecydowanie nie wyrządziła mi krzywdy, gdy mój agent podsuwał tu i ówdzie pomysł na autorski program. A potem, w trakcie drugiego odcinka, gdy wylałem na siebie marinare i w ramach żartu ściągnąłem koszulkę, producenci zdecydowali, że i sześciopak nikomu nie zaszkodzi.

I się nie pomylili.

W ciągu kilku tygodni notowania poszybowwały niewyobrażalnie w górę, moja twarz – i kaloryfer – pojawiła się na okładkach magazynów, a program został przedłużony na kolejne sezony.

Miałem klasyczne wykształcenie szefa kuchni, ukończyłem nowojorski Instytut Edukacji Kulinarnej, a potem przez trzy lata pracowałem z najlepszymi w swoim fachu we Francji. Moje miejsce było w kuchni. Ale kiedy zarobki za *Wrzenie* podskoczyły z „Hej, to coś fajnego, co możesz robić, kiedy nie jesteś w restauracji” do „Witamy w klubie milionerów”, stało się dla mnie jasne, że moje miejsce zaiste było w kuchni, ale tej przed kamerą.

I będą tu szczerzy: tysiące uwielbiających mnie fanów oraz tytuł najseksowniejszego szefa kuchni Ameryki według magazynu „People” zdecydowanie niosły za sobą też kilka zalet. Główne korzyści czerpało moje ego. I chociaż mogło się wydawać, że wszystko było takie łatwe, to w rzeczywistości tak nie było. Jasne, nie kopałem przecież rowów, ale uśmiechanie się i kręcenie goździnami kolejnych odcinków było naprawdę żmudnym zajęciem.

– Och, no weź! Dopiero co wziąłem prysznic – argumentowałem.

W jej głosie nie było nawet ani krztyny skruchy, gdy powiedziała:

– Wybacz.

Andrea Garnis, niedaleko było jej do wariatki. Od szaleństwa dzieliła ją jedynie jednomilimetrowa linia. Była też reżyserką *Wrzenia*. Nagrywała ze mną każdym odcinek, kiedy stałem topless. Była ze mną też podczas kilku nocy – wtedy z kolei ona bez koszulki – po których oboje zgodziliśmy się, że pomiędzy nami nigdy nic nie powinno być się wydarzyć. Potem zgodziliśmy się z tym stwierdzeniem za każdym razem, kiedy to znów się działo. Była niemiłą, grubiańską i prawdopodobnie największą suką, jaką kiedykolwiek miałem możliwość poznać, ale z drugiej strony była też aż do przesady lojalna i broniła mnie więcej razy, niż nawet byłbym w stanie zliczyć.

Nie powinienem był marudzić jej z powodu konieczności ponownego nagrania kilku prostych scen.

A jednak tak zrobiłem.

Ponieważ głęboko, z mocą tysięcy jadowitych węży, nienawidziłem tej roboty.

Czy przyznałbym się do tego? Nigdy. Przez większość czasu nie pozwalałem sobie nawet w ten sposób myśleć.

Ale jednak wciąż tkwiło to we mnie, jątrzyło się pod powierzchnią, zarażając i psując mnie na wskroś. Powinienem być rzucić tę pracę, zerwać kontrakt, zapłacić sieci telewizyjnej całą tonę pieniędzy.

Jednak odejście oznaczałoby przyznanie się do jednego – że hejterzy mieli rację.

I Boże, jak bardzo ją mieli.

Kobiety Ameryki mnie uwielbiały, ale pierwsze pomruki profesjonalnych kucharzy czy ludzi związanych z branżą nie były takie przychylnie. W kulinarnym świecie szybko stałem się tematem do żartów, przylgnęła do mnie łątką sprzedającego się beztalencia, któremu zależało bardziej na rozbieraniu się niż na jedzeniu, które serwował na talerz.

Nauczyłem się dzięki temu, że dupki są wszędzie i tylko czekają, żeby nasrać na czyjkolwiek sukces.

Co z tym robiłem? Zapaliłem papierosa i śmiałem się w drodze do banku po kasę.

Pieprzyć ich. Wszystkich. Hejterów i oszustów. Kłamców i... To już raczej piosenka Taylor Swift na inny dzień.

Przez pięć lat urabiałem się po łokcie, aby udowodnić wszystkim, że się co do mnie pomylili. W zasadniczej części mi się to udało. Siedem lat później byłem znów na szczycie kulinarnego świata, ciesząc się poważaniem od jednego wybrzeża Stanów do drugiego. Nie było opcji, żebym teraz przyznał się do porażki.

I chociaż nienawidziłem tego, że moje nazwisko było utożsamiane z mięśniami mojego brzucha, to nadal uwielbiałem to, że odnalazłem swoją ścieżkę kariery w kuchni. Gotuję od dnia, w którym się urodziłem. Nie dosłownie, bo wątpię, żebym czymś doprawiał serwowane mi mleko z butelki. Ale od kiedy tylko pamiętam, byłem w kuchni. To, co zaczęło się od przyrządzania, kiedy mama nie patrzyła, mikstur z losowych przypraw ze spiżarni, szybko przerodziło się w moją pasję. Jako dziecko, kiedy rówieśnicy jeździli na rowerach albo grali w gry wideo, ja siedziałem w domu i pielęgnowałem swoją obsesję na punkcie programów kulinarnych typu *Mr. Food* czy *Magazyn południowego stylu życia*. Kiedy miałem osiem lat, rodzice po raz pierwszy pozwolili mi przygotować samodzielnie cały posiłek. Zrobiłem confit z kaczki, purée z pasternaku, pieczone brzoskwinie w sosie z czerwonego wina oraz krążki cebulowe z szalotki.

Ojciec usiadł ze mną jeszcze tego samego dnia i powiedział mi, że to w porządku, że jestem gejem.

Lata później przyłapał mnie z sąsiadką i przysięgam, nigdy nie widziałem u niego większego zdziwienia. A może to była ulga? Cokolwiek to było, na pewno znikło po tym, gdy dwa razy nastraszyłem go prawdopodobną ciążą mojej ówczesnej dziewczyny z liceum. Jak już wspominałem, miałem pewne atuty: uśmiech, dołeczki i sześciopak.

– Nie możemy skończyć jutro? – zawyłem.

Andrea zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, jutro mamy trzy kolejne odcinki do nakręcenia.

Odrzuciłem głowę w tył i wlepiłem wzrok w sufit.

– Potrzebuję urlopu.

– Tak jak my wszy... Cholera!

Mój wzrok przeskoczył na nią. W tym samym momencie do pokoju wparował Porter. Był jak taran, prawie ją przewrócił.

– Musimy porozmawiać! – ogłosił.

Mój brat był największym wrzodem na tyłku, jakiego kiedykolwiek miałem możliwość doświadczyć. Wyglądaliśmy tak samo – obaj mieliśmy włosy w kolorze pustynny blond, a do tego niebieskie oczy. Ale, starszy o dwa lata, to on został obdarzony oryginalnym zestawem „uśmiech plus kaloryfer”, a mi dostała się wersja 2.0, w której skład wchodziły jeszcze dołeczki. Co do rzeczy innych niż wygląd nie moglibyśmy chyba już bardziej się od siebie różnić.

Ja byłem ten kreatywny. On miał w głowie tylko cyferki i praktyczność.

Ja marzyłem. On planował.

Ja byłem dzikim dzieckiem. A on był rodzinnym facetem.

Dawaliśmy sobie nawzajem nieźle w kość i dosłownie w niczym się nie zgadzaliśmy, ale, koniec końców, nie moglibyśmy być bliżej siebie. I jeśli mam być całkiem szczerzy, dawałem się Porterowi we znaki dlatego, że byłem o niego zazdrosny. Choć nigdy się do tego nie przyznałem. Chodziło o to, że bycie beztroskim kawalerem było fajne tylko przez jakiś czas. Kiedy stałem się popularny, było mi ciężiej niż komukolwiek innemu na świecie pogodzić się z takim życiem. Myślałem, że tego właśnie zawsze chciałem. Pięknych kobiet, spontanicznych wakaacji w egzotycznych miejscach, nic, co by mnie wiązało. Byłem w kwiecie wieku. Komu i po co w takim momencie byłyby potrzebne dzieci i żona? Chyba tylko po to, żeby to wszystko pokomplikować.



A jednak mogę wymienić takiego kogoś od razu. To mój brat.

Boże, uważałem, że był niezłym kretynek, kiedy w wieku dwudziestu paru lat się ożenił. Ale tym kretynek okazałem się ja. Kiedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo się nie mylił, miałem już trzydzieści dwa lata i żadnego pomysłu, jak stąd uciec. Moja pierwsza i jedyna próba spaliła na panewce. Wciąż płaciłem za nią wysoką cenę.

Nieważne, jak bardzo zazdrościłem Porterowi, jego życie nie było usłane różami.

Trzy lata temu żona mojego brata niespodziewanie zmarła, a on stał się wdowcem z dwójką małych dzieci. Wraz z mamą i tatą starałem się być blisko niego. Jego syn, Travis, miał osiem lat, a Hannah zaledwie sześć miesięcy. Dzieciom było ciężko, ale najgorzej oberwał Porter. Przyglądałem się temu, jak rozpadał się pod ciężarem rozpacz i cierpienia z powodu swojej straty, i to było jedno z najboleśniejszych doświadczeń mojego życia.

Jednego sądnego piątku, po tym, gdy uderzył swojego szefa i stracił pracę, zrobiłem jedyną rzecz, jaką udało mi się wymyślić, by uleczyć jego zdruzgotane życie.

Zaproponowałem, że założymy wspólnie restaurację.

Czy miałem na to czas? Kurwa, nie.

*Wrzenie* było coraz popularniejsze, a mnie zawałano grafikami nagrań tak, że z ledwością mogłem nadążyć. Jednak Porter desperacko potrzebował czegoś, co by zajęło jego uwagę.

Ja za to desperacko potrzebowałem, żeby znów był szczęśliwy.

Biorąc pod uwagę to, jak często się kłóciliśmy, rozpoczęcie wspólnego biznesu pewnie nie było naszym najlepszym pomysłem, ale kiedy przyszło co do czego, byliśmy prawdziwymi braćmi Reese. Robiliśmy, cholera, cuda.

Porter miał wypasiony dyplom z biznesu, ale był bankierem od inwestycji bez żadnego doświadczenia w zawodzie restauratora. Zapewniłem go więc, że wiem, co robię. Mogłem delikatnie nadinterpretować swoje umiejętności. Potrafiłem jak szalony zarządzać

kuchnią, ale po tym, gdy jedzenie lądowało na talerzu, miałem już bardzo ograniczone doświadczenie, co się dzieje dalej.

Nieważne. Resztę mogliśmy rozgryźć po drodze.

Porter się z tym nie zgadzał.

Przedstawił mi plan z wykresami i tabelami. Tak, pieprzony plan w organizerze, jakby znowu był w szkole. Nawet nie wiedziałem, że takie się jeszcze produkuje.

Odpowiedziałem mu na to spojrzeniem mówiącym „nie imponuje mi to”, dodając jeszcze kilka słów od siebie.

Wyprowadziłem pierwszy cios.

A on ostatni, co skończyło się dla mnie sześcioma szwami powyżej jednego z moich niebieskich oczu, znanych jako maszynki do robienia pieniędzy, oraz pełnym gróżb listem od mojego producenta.

Po tym zajściu musieliśmy naprawdę coś wymyślić, żeby móc skutecznie rozwiązywać nasze liczne różnice zdań. Zbudowanie toru przeszkód dla wojowników ninja na tyłach mojego domu wydawało się nam logicznym rozwiązaniem. To miejsce pełniło rolę naszego własnego sędziego. Zwycięzca brał wszystko, a jego decyzje były ostateczne.

Sześć miesięcy później narodziła się Porterhouse<sup>1</sup>. Pomimo tej głupiej nazwy zdobyliśmy entuzjastyczne recenzje od krytyków i patronów. I w ciągu kilku dni mieliśmy rezerwacje do końca roku. Niedługo potem zaczęliśmy planowanie otwarcia drugiej restauracji – Tannerhouse. Tak, to ja wygrałem tor przeszkód w dniu, gdy mieliśmy nazwać drugie miejsce. I tak szczerze, to tylko żartowałem, sugerując ten bezsensowny pomysł, ale to tak bezkrotnie wkurzyło mojego brata, że aż zdecydowałem się przy tym uprzeć.

Kilka tygodni przed testowym otwarciem Tannerhouse Porter bombardował mnie bzdetami. Przejmowanie się nimi było w jego gestii, nie mojej.

<sup>1</sup> Porterhouse – stek z wołowiny wycięty z krótkiego schabu, a w dosłownym tłumaczeniu z języka angielskiego – dom Portera (przyt. tłum.).

To były rzeczy, na które nie miałem nawet czasu.

Rzeczy, którymi ostatecznie obaj się martwiliśmy, aż zostały wykonane.

I znów tu był, żeby wywalić jeszcze więcej takiego gówna wprost pod moje nogi.

– Oczywiście, że musimy – zawyłem.

– Potrzebuję twojej porady – powiedział, zaciskając dłonie w pięści przy biodrach.

Brwi prawie dotknęły mi linii włosów, a powolny arogancki uśmiezek wygiął mi usta.

– Przepraszam, czy ty właśnie powiedziałeś, że potrzebujesz mojej porady?

– Nie bądź takim dupkiem.

– Nie, ja mówię poważnie. Czy mógłbyś to powtórzyć? – Uśmiechnąłem się tak, jak ten pewny siebie gnojek, którego przed nim udawałem.

Patrzył na mnie groźnie, co tylko sprawiło, że zacząłem się śmiać.

Otworzyłem dolną szufladę komody i złapałem jeden z tych charakterystycznych białych podkoszulków, mówiąc:

– Prosiłeś mnie o radę dokładnie trzy razy w ciągu całego naszego życia. Za pierwszym razem chciałeś wiedzieć, jaki jest najlepszy sposób na zrobienie jajecznicy bez jej przypalania. Za drugim potrzebowałeś się dowiedzieć, ile wody wchodzi na opakowanie ryżu z sosem serowym, po tym, jak przypadkowo wyrzuciłeś instrukcję. A za ostatnim pytałeś o radę, jak najlepiej uratować patelnię po zdrapaniu z niej teflonu, co zrobiłeś, próbując pozbyć się warstwy wcześniej wymienionej przeze mnie jajecznicy. – Uniosłem brew. – Zauważasz w tym jakiś schemat?

– Przestań narzekać. Nie jesteś tak naprawdę znany z bycia mędrce. Krem de la fru fru czy jak się tam, do cholery, nazywa to, co robisz. Tak, na tym naprawdę się znasz. Ale w poradach

dotyczących prawdziwego życia, które można by zastosować wobec kogokolwiek, nawet takiego z najbardziej niemrawym kompasem moralnym? Nie masz szans.

Zamrugalem, a pełen satysfakcji uśmiech wyrósł mi na ustach. Nic, co mówił Porter, nie mogło mnie zranić, ale wiedza, że zalałem mu za skórę, przynosiła mi taką satysfakcję, jakiej żadna obelga posłana w moim kierunku by nie mogła. Wzajemne obzucanie się głównem, to było nasze hobby.

– A jednak stoisz tu i prosisz o radę.

Odetchnął ciężko, przeczesał dłonią włosy. Miał desperację w oczach. Otworzył usta, ale Andrea odezwała się pierwsza:

– Później. – Złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku drzwi. – Chodź, piękny chłoptasiu, będziesz mógł potrzymać się za rączki z bratem i popłakać sobie z powodu jakiegoś boys bandu, który tragicznie się rozpadł, kiedy ja już będę w domu.

Porter wymierzył w nią bardzo złe spojrzenie.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie na nowo, dlaczego dawałem Andrei coroczny bonus na święta Bożego Narodzenia.